



Patryk po bankructwie firmy ojca i utracie domu ląduje z dnia na dzień w lokalu zastępczym w odrapanym dwupiętrowym bloku. W przeciwieństwie do matki szybko przystosowuje się do życia w „Brooklynie”, jak nazywają blok osiedlowe dzieciaki. Zapomina o dawnym życiu – o jego dobrych stronach, luksusach i znajomych, którzy wraz z tym wszystkim zniknęli.

*Mocna historia opowiedziana mądrze i nienachalnie. (...) Chciałabym, żeby ten tytuł wszedł do kanonu lektur i „gimbaza” mogła sobie podyskutować.*

*Katarzyna Wasilkowska, pisarka*

### Katarzyna Ryrych

Autorka książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych, poetka, nauczycielka i malarka. Laureatka wielu prestiżowych nagród literackich. Lubi rowerowe wyprawy, dwuosobowe plenery i truskawki ze śmietaną. I książki, które kupuje nałogowo.



Nagroda Literacka  
Miasta Stołecznego  
Warszawy

## I

(...)

Tego lata nie jeździłem już do ojca w odwiedzinie.

W domu zapanował porządek i nawet Afryka na dnie wanny przestała mi przeszkadzać. Całe dnie spędzałem w domu, bo matka znalazła pracę przy sprzątanii jakiegoś biura, wychodziła z domu wcześniej, a wracała koło piątej i jedliśmy obiad. Czasami po pracy wybierała się do ojca i wtedy razem jedliśmy dopiero kolację.

Ale nie nudziłem się. Na szczęście były książki, które zacząłem po prostu pochłaniać.

– Tak nie może być – orzekła babcia, kiedy wreszcie zdecydowała się odwiedzić nas w Brooklynie i, jak to określiła, „na własne oczy zobaczyć nasz upadek”.

A ja zdążyłem już pokochać Brooklyn, gdzie mogłem do woli bazgrać po ścianach, zjeżdżać w dół po poręczy i strzelać z procy do altany, w której jeden przy drugim stały kubły na śmieci.

– Tak nie może być – powtórzyła babcia.

– Tak czasami bywa – powiedziała matka.

Siedziałem obok i przyglądałem się jej rękom. Paznokci nie malowała od dawna, zresztą i tak były krótkie i polamane, a wierzchy dłoni szorstkie jak dno naszej wanny.

– Nigdy nie miałaś charakteru – ostatnie słowo jak zwykle musiało należeć do babci. – Poza tym ta nora...

Rozejrzała się po pokoju. Prawda, nie był zbyt piękny, ale nazywanie go norą było już przesadą.

– Mogę zabrać Patryka do siebie. Tam przynajmniej będzie miał warunki...

Ale ja nie chciałem opuszczać Brooklynu. Pół roku temu byłbym gotów to zrobić. Jednak teraz, kiedy ojca nie było w domu, nagle zrobiło się cicho i spokojnie. Chciałem być właśnie tu.

Babcia rzecz jasna obraziła się i wyszła, nie dopijając herbaty, matka rozplakała się, a ja poszedłem do swojego kąta, który żartobliwie nazywałem swoim pokojem. Była to po prostu wnęka, w której mieścił się składany fotel, biurko i półki z książkami. Kiedyś, w przypływie rodzicielskiej miłości, ojciec obiecał założyć rozsuwane drzwi, ale oczywiście zaraz o tym zapomniał.

Tak czy siak – był to mój własny kąt, który także zdążyłem polubić.

(...)

Jak się zorientowałem zaraz na samym początku, byłem najmłodszym lokatorem Brooklynu. I radziłem sobie od pierwszych chwil.

– To dziecko ma złe skłonności – oświadczyła babcia.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała matka, jakoś tak bardzo grzecznie, bo jeszcze nie zdążyła przyzwyczać się do Brooklynu.

– Zobacz, jak szybko przesiąknął tą atmosferą.

Nie uważałem, aby stało się ze mną coś złego. Po prostu po kolejnym laniu, jakie spuścił mi ojciec, zapomniałem założyć długie spodnie i sąsiadka zauważyła ślady pasa.

– Za co dostałeś? – zapytała, ale w jej głosie wyczułem jedynie ciekawość i ani odrobiny współczucia.

– Za gówno – odpowiedziałem.

Nie wiem, jak zareagowałby moja matka, ale sąsiadka natychmiast się zamknęła i nigdy więcej nie pytała mnie o nic. A może nauczyłem się zasłaniać siniaki? Kto wie.

Tego słowa nauczyłem się od nikogo innego tylko od jej syna.

Kłócił się z matką i wychodził, mrużąc coś pod nosem, a kiedy wychylała się z okna, wołając: „Co? Co powiedziałeś?!”, obciągał jeszcze niżej swoje spodnie i odpowiadał: „Gówno!”.

– Ty, twardeł z ciebie – rzucił któregoś dnia i poszedł na boisko, gdzie siedzieli jego koledzy, których nazywał ziomalami.

W odpowiedzi wzruszyłem ramionami i poszedłem w swoją stronę. Czulem się dobrze, kiedy byłem sam.

To było o wiele lepsze niż kłopotliwe pytania kolegów w stylu: „A gdzie mieszkałeś przed Brooklynem? To prawda, że macie tam zajebiste szczury?”.

To były brzydkie słowa, których wcześniej nie znałem, ale pasowały, jakby narodziły się właśnie tu. A koledzy zupełnie niepotrzebnie zadzierali nosy, jakby mieszkali Bóg wie gdzie, a nie w Alcatraz.

Na mój gust Alcatraz był naprawdę straszny – ogromny, szary, z wąskimi oknami i mieszkało tam tak wielu ludzi, że nie znali się nawzajem.

W Brooklynie przynajmniej każdy znał każdego i można było bez obaw zostawiać otwarte okna.

– Bo Cygan we własnej wsi nie kradnie – powiedział sąsiad, kiedy szukałem swojego roweru.

W ten sposób nasi sąsiedzi znaleźli się poza kręgiem podejrzanych, a ja byłem gotów uciąć sobie rękę, że zrobił to ktoś z Alcatraz.

Deszcz padał przez cały dzień i dzięki temu skończyłem czytać książkę.

Była super, mimo że nie występowały w niej ani elfy, ani żadne baśniowe stwory.

Był natomiast facet imieniem Atticus. Natychmiast go polubiłem, bo był świetnym ojcem. Atticus, to było imię jeszcze dziwniejsze niż Celestyn.

Wieczorem zadzwoniła nowa przyjaciółka matki, ta sama, która była z nami na rzekę, i powiedziała, że zdobyła dwa bilety do kina.

Zadzwoniła do radia, odpowiedziała na jakieś proste pytanie i w ten sposób mogła zaprosić moją matkę na film.

– To film dla dorosłych – wyjaśniła matka, zupełnie jakby chciała się usprawiedliwić, że wychodzi beze mnie.

– Wiem – odpowiedziałem.

Ja przynajmniej miałem Celestyna, a matka tylko pracę. Od czasu, gdy zamieszkaliśmy w Brooklynie, nie myślałem o niej inaczej niż „matka”. W Brooklynie bowiem były matki i byli ojcowie, słowa „mama” i „tata” brzmiały dziwnie obco, zbyt miękko, zbyt domowo.